

TOMIK I.

ES-MEN

ONI I ONE

*Frywolne tematy
do smutnych opowieści.*

Z ilustracjami.

**Kolekcja
Emila Kornasia**



KRAKÓW 1927.
NAKŁADEM ZENONA PROMIĘNSKIEGO.

TOMIK I.

ES-MEN

ONI I ONE

*Frywolne tematy
do smutnych opowieści.*

Z ilustracjami.

**Kolekcja
Emila Kornasia**



KRAKÓW 1927.
NAKŁADEM ZENONA PROMIĘŃSKIEGO.



CM KEK 321605

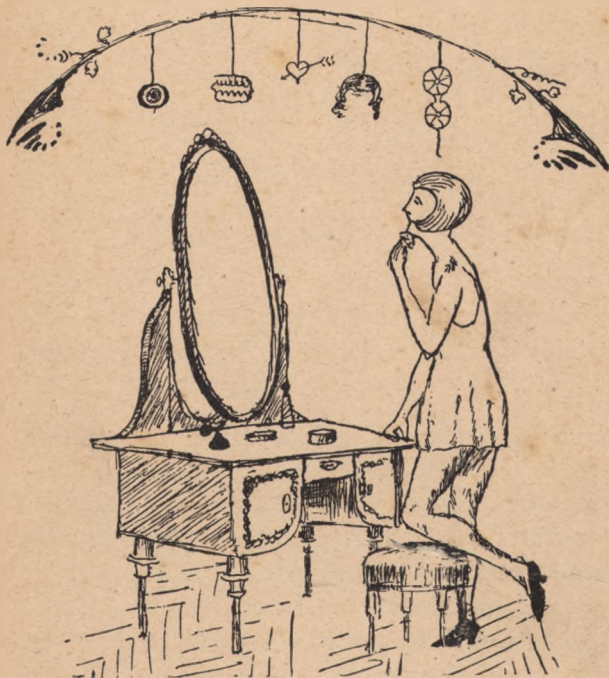
Prawo własności, użycia tematów,
przedruku i tłumaczeń zastrzega się.

ODBITO W DRUKARNI LITERACKIEJ W KRAKOWIE
pod zarz. Stanisława Ziemiańskiego.

Wpisano do Księgi Akcesji

DM 28 2013/ CM
Akc.

BUDUAR.



Ileż to tajemnic zawiera buduar kobiety!
Tam to chytra połowica obmyśla przeróżne
sposoby na udrękę mężów.

Tam to... kreśli miłosne liściki do kochanka...

Tam to... małżonkowi przyprawia rogi...

Biedak taki ani się nie spodziewa zasypiając spokojnie, że rankiem wstanie rogaczem! Zdradliwa alkowa nie zdradzi tego, czego jej ściany były świadkiem!

Rogacz taki, nieświadomy niczego, bywa przez swoją żonczkę napozór wielce miłowany... pieszczony... tumaniony... w tymże samym buduarze...

Taki to miły pokoik ten buduar!



Buduar zmienia swój koloryt, zależnie od wieku i temperamentu jego mieszkanki.



Buduar panienci młodej mieni się różą poranka i białą nieskałanej niewinności. Mieszkanka jego z lękiem zezwala po długim oporze, aby... On przekroczył progi tego sanktuarjum... chociaż jest przekonana, że białość będzie skałaną...

On, chociażby był nawet najśmielszym zdobywcą — wchodząc tu, czuje pewne oniesmienie, więc, pomimo, że panuje tu kolor biały lub seledyn, w jego oczach półświadomie

błyszczący już ta upragniona purpura... pierwszego zdobywcy...



Buduar kobiety dojrzałej, a pełnej wigoru i gorącej jak lato, opalizuje i zmienia barwy, stosownie do usposobienia swej pani, — *On* przekracza jego próg z zapalem — pewny zwycięstwa... ona kapituluje, wiedząc, że *On* zbierać będzie z lichwą rentę długo tłumionego-pożądania... I... wtenczas dominuje tam szmaragd — kolor nadziei!...

Lecz, gdy zawita tam pan i mąż — nie kochany, aby upomnieć się o atrybut... „posłuszeństwa małżeńskiego“, jakże w takim najmilszym nawet buduarku jest beznadziejnie szaro...



Buduar kobiety, która przeszła już balzamski wiek, nabiera barw fioletu... Chociaż mieszkanka jego, nie mogąc zapomnieć, jak to było... — sztuką i sztuczką pstrzy buduar i swoją więdnącą urodę, któż przekroczy jego progi?

On? Jego już niema... zwiął na czasie..., a ten młokos, zwabiony ciekawością, jak wygląda grzech zakazany — to się przecież nie liczy... Jeżeli ma męża — to on woli w klubie

siedzieć lub w knajpie, bo tam nie każą mu odrabiać zaległości... Chyba, żeby tak coś młodszego... coś z meszkiem...

I jakiż tu ma być koloryt? — fiolet — kolor smutku.



O buduarze kobiety! Ileż pieśni cię opiewało... ilu wzruszeń, ilu dramatów i ilu łez tyś był świadkiem!?



Buduar kryje różne kobiety i ich tajemnice. Tajemnice te mogłaby zdradzić tylko wygodna otomana, znajdująca się w każdym buduarku, lecz ona mówić nie umie... i w milczeniu znosić musi nadmierny ciężar, którym bywa często przytłaczana.



KTÓRY?

„A, a, kotki dwa, szare, bure obydwu“ — nuciła cicho, tłumiąc łzy, które zwilżały twarzyczkę i wyżłobiły ciemne podkowy pod cudnemi do niedawna oczami.

Dopiero drugi rok upłynął, jak znalazła się na bruku warszawskim, a ileż to już przeżyć miała za sobą...

Siedmnastoletnia, w zaścianku przez bogobojną matkę wychowana, gdy ta umarła, a ojciec drugi raz się ożenił, ponieważ przez macochę, postanowiła uciec do miasta na służbę.

Dużo słyszała o Warszawie; wielkie miasto, więc łatwiej znajdzie pracę. Nie wiedziała tylko, że Warszawa, to moloch, który takich niedoświadczonych dziewcząt tysiące rocznie pożera.



Gdy pociąg stanął na dworcu kolejowym i jak z paszczy rekina wyrzucił wielobarwny tłum, biedna Józka, zewsząd popychana, znalazła się na ulicy Warszawy sama — nie-
radna — opuszczona i jak mały dzieciak, który

zgubił rąbek fartucha matuli, rozpoczęła rzuć-
wnie płakać.

— Czemu to panienka taka smutna? —
usłyszała sympatyczny, męski głos.

— Jak nie mam płakać, kiedy ta ulica taka
długa — wieczór już, a ja nie wiem, w którą
stronę się udać.

— A to panienka obca w Warszawie? —
a skądże panienka? — jeśli wolno zapytać.

— Z Dziewienizek, z pod Płocka — mama
mi umarła, tatuś wziął macochę — taką złą,
niedobrą i... i... musiałam uciekać z domu
na służbę — łkając, opowiadała swoją niedolę.

— A tak... — Niechno panienka obetrze te
śliczne oczęta — mówił z przymileniem —
niech panienka nie płacze — już ja się pa-
nienką zajmę, — właśnie dobrze się składa —
potrzebujemy takiej zgrabniutkiej „młod-
szej“ — proszę iść ze mną — służba już jest,
a warunki omówimy w domu.

— Mój Boże — myślała sobie z rozczuleniem
Józia — to widocznie mama, nieboszczka, ze-
słała mi tego pana, że tak zaraz bierze mnie
pod opiekę. —

Nie duch opiekuńczy matki zesłał na jej
drogę „opiekuna“. — Takich opiekunów, czatu-
jących na dworcach warszawskich na samotne,
naiwne dziewczęta jest cały legion, a imię ich

„alfons“, dobrze znany z kronik i powieści kryminalnych.



Józia, wprowadzona do gościnnych pokoi tak zwanego pensjonatu, olśnioną została niewidzianym w zaścianku przepychem luster, dywanów i miękkich, barwnymi materjami krytych mebli.

— To jacyś bogaci państwo — pomyślała sobie — widocznie dobrze mi tu będzie.

„Opiekun“ ujął dziewczynę pod brodę i okiem znawcy lustrując jej rysy i zgrabną figurkę, myślał w duszy: Jak Boga kocham — wspaniała! Szczęśliwy dzień dzisiaj miałem. Ten zblazowany hrabia Zdziś dolarkami będzie płacił... Tak na pierwsze słowo, niżej tysiąca nie ustąpię! — a potem — pogadamy!...

— No, jak się tu panience podoba — mówił dobrodusznie. — Jak imię? — Józia? — Śliczne imię. — Wiesz Józiu, u mnie bywa bardzo duże towarzystwo, wielcy panowie, którzy przyzwyczajeni są do wybrednych imion. Józia śliczne imię, ale widzisz, u mnie będziesz się nazywała — tak z francuska „Zozo“.

— Dobrze, proszę pana, jeżeli tak być musi — odpowiedziała nieśmiało Józia. —

— A co ja mam robić, proszę pana? — bo mama nauczyła mnie szyć, prac, prasować, czysto sprzątać, pielęgnować kwiatki i wszystko proszę pana umiem robić, co jest w gospodarstwie.

— Przedewszystkiem, moja mała, rozgość się — kuferek postaw w kącie, zjesz kolację, i wypoczniesz, bo oczka ci się kleją, jak widzę — a jutro pomyślimy o ubraniu.

Biedna Józia z wilczym apetytem zmiatała podawane przysmaki i chciwie piła słodkie wino, którego smak pierwszy raz w życiu poznała. Zmęczenie po całodniowej podróży, oszołomienie nieznanym jej dostatkiem, i zdradliwe kaukazkie wino, zrobiło swoje. Nie zdawała sobie sprawy — dlaczego jej pan zaczął ją pieścić, całować... nie wiedziała co się z nią dzieje...

A gdy rano zbudziła się — spostrzegła z przerażeniem, że spoczywa w uścisku nieznanego jej mężczyzny.

Takiem było powitanie jej przez Warszawę.



Przechodziła z rąk do rąk. Z jednej libacji szła na drugą. Jak zahypnotyzowana, pozbawiona woli i myśli, nie umiała sobie zdać

sprawy, jak to wszystko się stało i czem się skończy...

Wiejska dziewczyna, nagle wtłoczona w formę demimondówki, w chwilach zastanowienia się, czuła ciężkie wyrzuty sumienia.

Lecz życie biegło i rwało ją swoją rozszalałą falą. Sama nie wiedziała, czemu to się działo, że stała się słynną w kołach bonwiantów warszawskich, przez wszystkich pożądaną i modną „Zozo“.

I było by tak płynęło jej beztroskie życie, gdy pewnego dnia doznała dziwnego uczucia... Jakiś prąd magnetyczny, przedtem jej nieznany, przebiegał po całym drżącym jej ciele. Coś się działo w niej nieznanego, co napełniało jej istotę omdlałą rozkoszą!

— Dziwne — dziwne — widocznie jestem chora, trzeba koniecznie poradzić się lekarza.

Lekarz po konsultacji wyjaśnił pięknej Zozo, że już za trzy miesiące... będzie mamą...



— No dobrze, niechby już i tak było — myślała z rezygnacją. — Ale który? właściwie — który?! jest ojcem tego dziecka?!?!



Tego „Zozo“ nie wiedziała — i nie dowie się nigdy.

POWRÓT DO FORMY.



Panna Mela miała prawdziwego pecha. Mój Boże! Przecież nie była zakonnicą, nie ślubowała czystości... trudno, młodość ma swoje prawa, więc... zgrzeszyła.

Znajomość jej z szykownym porucznikiem-lotnikiem Zyziem nie trwała długo, a jednak, on, jak brawurowy pilot, wystartował wśród upojnej nocy letniej na bezmiarach zapomnienia i... i stało się.

Mela rozkochana rzuciła się w oszalamiający nurt rozkoszy... a on? On wtajemniczał ją coraz częściej w nieznane jej dotąd tajniki rozanielen wyrafinowanych, że zapomniała o całym świecie, oczekując codziennie na coraz nowe odkrycia...

Romans przedłużał się jak śniona bajka... gdy Melę z szalów upojenia zbudziło spostrzeżenie... że zaczyna wychodzić z formy.

Nie była tak naiwną, aby nie wiedziała, co to znaczy. To byłby skandal — kompromitacja w domu, w biurze, gdzie pracowała, wśród przyjaciółek. Trzeba coś radzić, coś zrobić, aby... powrócić do formy.

Zwierzyła swoją tajemnicę Zyziowi.

Pomimo zwykłego tupeciku i nonszalancji zbaraniał — coś podobnego, pierwszy raz przytrafił mu się taki casus...

— Meluchno, kochanie! uspokój się! znajdziemy na to radę.

— Ale co! — ale jak!? — indagowała Mela.

— Widzisz, właściwie to jestem tem zaskoczony, ale środek znajdę.

Ucałował spłakane oczęta, uściskał, utulił, a gdy jeszcze zaczął konstatować, jak daleko nastąpiło to... wyjście z formy... Mela zapomniała gniotącego ją niepokoju i przestała płakać.



— Masz djable kaftan! — klął pan porucznik, wracając z czułego rendez vous. — A tom wpadł w ładny korkociąg!... — Mela milutka dziewczynka, ale przecież żenić się dla tego — nie! to nie ma sensu. — Głupia sprawa, ale jak tu radzić z tą przeklętą formą!? — Niejedno krotnie obiło mu się o uszy, że jednak jest wyjście z takiej katastrofy. Niema co, muszę się poradzić doktora Rójskiego.

Dr Rójski, lekarz pułkowy, miał wyrobioną opinię starego kobieciarza, a koledzy nazywali go nawet „Rojem-niewiestnikiem“. — Był to typek, który już wymiera. Lekarz zdolny, uniwersalny, był dobrym kolegą, nie chciwym na honorarja i ratujący w potrzebie, gdy okazja się nadarzyła.

— A widzisz kolego, zawsze was uczę, gdy idziesz do szturmu, wdziewaj maskę ochronną... Ma się pewność co do wszelkich ewentualności, a tak masz! — Jak bieda — ratuj Roju! — Słuchajno, a jak to dawno, jak ta dzierlatka poczuła zmianę formy? — Wiesz, najlepiej przyślij ją do mnie.

Porucznik Zyzio, znając opinie kochanego Roja, oświadczył z miejsca: — „Sama nie przyjdzie, muszę ją przyprowadzić“.

— Nie, mój kochany, par zakochanych w swoim hommé nie przyjmuje; jak chcesz, abym radził, musi przyjść sama.



I przyszła.

Nieśmiało przekroczyła po raz drugi w życiu próg mieszkania mężczyzny. — Wprawdzie ten mężczyzna — to lekarz, który ma dać zbawienne rady — ale... lęk czuła instynktowny, że... to jednak mężczyzna.

Dr Rójski miał taktykę opartą na doświadczeniu. Nie atakował z miejsca, lecz pomału, a skutecznie dochodził do celu.

— Moja kochana pani, proszę się rozgościć, ośmielić, przecież pani jest u przyjaciela. — Rozbierzemy się... Tak... zupełnie... Widzi pani lekarza nie trzeba się wstydzić, bo doktor to nikt... to taki sobie osobnik ciekawski, który musi u pacjenta wszystko zobaczyć, bo tak trzeba. Śmiało panno Melu, śmiało — bez ociągań — musimy zbadać, jak to — z tą formą...

Tak, grzecznie. — Koszulkę też...



Jak się to badanie dalej odbywało, ze względu na skromność moją nie opiszę.

Koniec końcem, że Mela nabrała przekonania, iż takie badanie nie jest znowu takie straszne, — a nawet owszem... owszem...



I co państwo powiecie? Po dłuższej kuracji Mela wróciła do... formy.

Tajemnicy, jak się to odbyło, nie zdradzę. Ciekawe panie, będące w podobnej potrzebie, zechcą się zwrócić wprosił do Dra Rójskiego. Adres w kalendarzu.

WYWIAD OPTYCZNY.

Odnowiona „Ziemiańska“ stała się dla Krakowa przytułkiem grona młodych literatów i poetów. Stały stół pod oknami zajmowali członkowie „Ślamandra“. Tu były omawiane w całym słowa znaczeniu i obmawiane aktualne kwestje dnia, który, mimo pory ogórkowej grał żywo kolorami tęczyowych miraży niezwykłych wydarzeń. Opera katowicka, Operetka z Messalką i Varietè na Rajskiej, ćmiły odgłosy dochodzące tu z Zakopanego, Krynicy, Truskawca i od innych moczydołków krajowego autoramentu.

Rej przy stolikach wiódł zawsze bladolicy, długonogi i wszędobyłski Symforjan Pytel, nowa sława na Parnasie, krytyk i poprawca rymów i rytmów, których, jego zdaniem, tak niewłaściwie używali taki tam Mickiewicz, Słowacki i inni Wyspiańscy.... Bo i cóż może być łatwiejszego jak płodzić rymy, n. p.: owa — krowa, icki — cycki i tym podobne?

— Muzyka poezji przyszłości powinna się opierać na nowych objawach dysonansu — prawil z zapalem. — Ileż wymowy i nie-

znanych dotychczas wzruszeń ma n. p. taki jazz-band. Profan nazywa to kakofonją, lecz ucho mistrza subtelnego, chwyta impulsywne odgłosy natury, objawiające się w rykach, piskach, pogwizdach i t. p. jazzu...

— Moi kochani, musicie mi bezwzględnie przyznać, że wprowadzone do orkiestry saksofony, banja, czinele, tamburiny lepiej wydatniają tęsknotę duszy pierwotnego człowieka, aniżeli przestarzałe flety, skrzypce i t. d. W jazz-bandzie rozróżnić możecie bóle porodowe, szarpanie pazurów lwa, poszum hassumu i opary krwi.

— Bój się Boga człowieka, gdzieś ty zajechał! — krzyczał wesoło pan Jan Brózka, słynny już na naszym bruku krytyk literacki — trzeba być naprawdę dzikim człowiekiem, żeby się zachwycać wyciem jazz-bandu!

— Daj pokój Symowi (bo tak popularnie między poetami „Slamandra“ nazywano Symforjana Pytla), czyś dopiero dzisiaj spostrzegł, że on w całym tego słowa znaczeniu jest „dzikim“? Dzika to bestja, ale szczęście do kobiet co ma... to ma! Jak ta szelma potrafi wymacać zawsze najwięcej byczą facetkę!

— Wymacać kobietkę? Ti!.. to dla mnie drobiazg! Widzicie i podziwiacie, a ja wam

powiadam, że to nie żadne szczęście, tylko wynik mojego systemu wywiadu optycznego.

— Co? co? co? Jakżeś to nazwał? Wywiad optyczny? Powinieneś ten wynalazek opatentować — tak, jak Marconi swoją telewizję.

— A ma tę wyższość nad telewizją, że nie wymaga, przypuszczam, żadnych skomplikowanych aparatów — śmiał się pan Napoleon Poddajło, świeżo upieczony laureat „Lecących liści“.

— No tak, rzeczywiście — odparł z powagą pan Pytel — musicie tylko wiedzieć, że do takiego wywiadu optycznego musi być odpowiednio nastrojona... antena wzroku. Przypatrzcie się na przykład tym dwom sikorkom, zjadającym tak smacznie ciastka pod ścianą. No, mówcie, coście spostrzegli?

— Pyszny sobie jesteś, Sym! Cóż można tak na pierwszy rzut oka o nich powiedzieć? — seplenił Bolcio JarSKI, najnowszy adept sztuki. — Nóżki niczego — bioderka w porządku — modnie płaskie, ta blondynka ma nawet figlarne oczka — a ta ruda to zdaje się byłaby nie od tego...

— Czy to już wszystko, coś dostrzegł, ty bystry spostrzegaczu? Bo ja, widzisz, więcej ci o nich powiedzieć mogę. — Blondynka, z pewnością nie tutejsza — przyjechała z let-

niska, bo buzię ma opaloną. — Nieobcięte włosy wskazują, że tam czuwa gdzieś mama albo ciocia (ojcowie w kwestji paziowskiej fryzury nie mają głosu), na willegjaturze zrobiła przyjemną znajomość, bo, jak zauważyłem, z pewną przechwałą pokazuje swojej przyjaciółce całą [kolekcję fotografii. Wypite przez nią trzy szklanki wody sodowej z lodem, są dowodem nieugaszonego pragnienia. Na palcach zauważyłem brak jakiegokolwiek pierścionka, to dowód, że jeszcze nie zaręczona. Zażyłość blondynki do płomiennowłosej wskazuje, że ona ma być jej Ciceronem na ścieżce nieświadomego.

Płomiennowłosa, to już osóbka doświadczona. Przez cienki jedwab bluzki dostrzegam dokładnie opaskę, podtrzymującą wyniosłe pagórki, które już wielokrotnie przytłaczane, mają tendencję opadową... Obserwuj dobrze, z jaką predyspozycją wyciąga jęczyzkiem z rurki francuskiego ciasta smaczną piankę. Czy wam to nic nie mówi? Bo dla mnie jasnem jest, jak na dłoni, że dziewczica jest dostatecznie doświadczona...

— No i co dalej — no i co dalej! — odezwał się zcicha chór zaciekawionych.

— Widzicie, że jednak posługując się wywiadem optycznym, na mocy wniosków wzro-

kowych, można każdą kobietę rozebrać nawet i z koszulki — i w dziewięćdziesięciu na sto wypadkach wywiad nie zawodzi... należy tylko wywiad ująć w system!

— No, ale jak?... ale jak? jak? — słychać było szum zapytań.

— Po pierwsze — kolor włosów, nic nie mówi. Wszelkie różniczkowanie na temat temperamentu blondynek, szatynek czy brunetek zwykle zawodzi — również oczy, często tak wiele obiecujące, gdy przyjdzie co do czego — również zawodzą. Widzicie — najgłówniejszem jest obserwowanie ruchów i gestu. Ruchy spokojne, jakby ospałe, dadzą wam poznać, że dana osóbka jest z natury leniwa, nieprzebudzona jeszcze — lub chwilowo w letargu. I taką musisz zdobywać po maleńku — ostrożnie, z pewnem wyrafinowaniem — przy użyciu odpowiednich akcesorji. Jest to droga uciążliwa i żmudna, na którą my, młodzi, nie mamy czasu. Śmiałe ruchy rąk — spojrzenia jasne, choćby nawet impertynenckie, to dowód niekrępowanego temperamentu. Za taką wal śmiało bracie — bo ci się opłaci, a nie potrzebujesz wiele zachodu, troszeczkę sprytu i zręczności i już siedzisz... w bramce...

Najniebezpieczniejsze to są takie, jak nasze vis à vis płomiennowłose, rude białogłowy. Hipokryzja, obłuda, fałsz, zmienność humoru — i pożądań, są wybitną cechą niewiast tego koloru.

— A więc strzeżcie się rudych!..

— Założę się o partję koniaków, że Sym jednak już zagiął sobie parol na tę rudą — sepleniał Bolcio Jarski.

— Być może, już nawet co do tego porozumieliśmy się — śmiał się Sym — bo mój wywiad optyczny dotarł do niej w czasie, gdyśmy rozmawiali. Przyjdźcie po teatrze do „Pawilonu“ Bisanca, a przekonacie się. Tylko ostrożnie, moi kochani, bez waszych dowcipów, jak gentelmani, bo gotowiście spłoszyć tę drugą blondyneczkę, którą odstępuję wspa-
niałomyślnie Napoleonowi. Ty, Poleonku, lubisz sentymencik... flotę masz... więc możesz się puścić na dłuższy dystans.

Mnie, widzisz, bardzo zaimponowała ta rurka z kremem...



JAK JUŻ NIEMA TEGO...



Jedna panna nieszpeta
ale bez posagu, chciała
koniecznie wyjść za mąż.
A że panieństwo bardzo
jej już dokuczało, więc ra-
dziła sobie biedota, jak
mogła, z przygniatającą ją

cnotką. Było wprawdzie wielu amatorów mio-
du, lecz żaden z nich nie chciał iść do ołtarza.
I kto wie na czem skończyłyby się hazardy
panienki, gdyby nie poznała pewnego star-
szego jegomości... któremu okrutnie wpadła
w oko.

Tacy to są najlepsi, niewymagający, nie-
grymaśni, nie oglądają się za posagiem,
i wziąć ich bardzo łatwo.

Pan ów, stary ale jeszcze jary, zachęcony
powłóczysem spojrzeniem doświadczonej dzie-
wicy, zaczął do niej palić kōperczaki nie na
zarty. Wpadł! — Ta, albo żadna — pomyślał
sobie — najwyższy czas, mój kochany, mieć
kobietę własną, tylko dla siebie. Ha, gdybym
był młodszy — myślał hytrze — inaczej byś

ty śpiewała w moich łapkach szelmutko! Byłoby to było!...

— Raz kozie śmierć! — Powiedział sobie. Uczernił resztki czupryny, wypomadował wąsy na sztorc, zawiązał nową krawatkę, kupił naręcze kwiatów i poszedł — do szturmu.

Panna niby ogromnie zdziwiona, a w duszy rozradowana, że dobija do upragnionego portu, z udaniem wzruszeniem wysłuchiwała oświadczeń, że ją kocha, że żyć bez niej nie może, i tam i tam dalej. Obliczała już zgóry wszystkie korzyści, jakie dać może taki wygodny mąż — parawan.

Jak wizja przyszłości przemknął przed jej oczami obraz klęczącego staruszka, któremu tak dół twarzy będą ogromne rogi, wyrastające na łysinie. On tego nawet nie poczuje, więc właściwie nie będzie w tem nic złego, że ugasi pragnienie niejednego chłopczyka..., będzie to nawet czyn miłosierdzia.



Staruszek wrócił do domu rozanielony.

— Niech będzie co chce, ale to przecież boska kobieta! Jakie kształty, jakie rozłożyste biodra... No, panie Ignacy, będziesz sobie używał za wszystkie czasy!... Wprawdzie, po oświadczeniach wspomniała mu coś, że tam był już ktoś..., ale, czy taka rzecz w jego

wieku może wchodzić w rachubę! Owszem, to nawet okoliczność ułatwiająca ten trudny moment burzenia chińskiego muru!... Do tego trzeba mieć jednak większe siły!... A tak, to sobie człowiek da radę.



Weselisko się odbyło — hucznie — i buńczucznie. — Ja też tam byłem, miód i wino piłem — a gdy w jakiś czas zapytałem młodej małżonki, jak się czuje w stanie małżeńskim, odpowiedziała: — Mój kochany panie — jak tam jest — to jest, tylko z tem bieda, że po dwóch godzinach zachodu... dwie minuty pożytku!...

— Widzi pan, to są następstwa, że gdy panna nie posiada już tego... to musi iść za starego. Zresztą jestem — a przypuszczam, w przyszłości będę bardzo szczęśliwa!

— Nie wątpię — pomyślałem sobie, spoglądając w jej łobuzersko roześmiane oczy.



PIORUN SWATEM.

Dziwny chłopiec był z Witka. Pomimo że natura obdarzyła go hojnie i wzrostem, i zgrabną figurką, i wdzięczną twarzą, wszyscy krewni i koledzy wyrażali o nim zgodny sąd, że dziwny z niego chłopiec.

Były rzeczy, które niesamowicie oddziaływały na jego ustrój nerwowy. Głośny świst przerażał go, turkot auta przejeżdżającego paraliżował go z miejsca, tak, że musiał cofać się pod ściany kamienic i wyczekać chwil parę, nim wróci do równowagi. Burzy bał się jak dzieciak, przy błyskawicy zamykał z przerażeniem oczy, a głośny grzmot przyprawiał go prawie o stan kataleptyczny. Koledzy wyśmiewali te jego wady i wyczyskiwali wrażliwość chłopca, płatając mu rozmaite figle. Gdy z Witka wyrósł pan Wit, wady lat chłopięcych nie zanikły, owszem, spotęgowały się.

Pan Wit, jako syn zamożnego obywatela ziemskiego i w dodatku jedynak, kończył agronomję. Mieszkał w ładnej willi na przedmieściu Krakowa, u profesora uniwersytetu, dra Halbiona. Prof. Halbion, jako lekarz z za-

wodu, był zarazem z zamiłowania słynnym botanikiem. Tak ze względu na obserwacje nad stanem zdrowia syna, jak niemniej ze względu na wpływy jego na wydziale rolniczym uniwersytetu, umieścili Wita rodzice u prof. Halbiona na czas studjów.

— Bo to, widzi szanowny pan profesor, dziwny chłopak z naszego jedynaka; dryblas wyrósł wielki, wąsiska mu się puściły już porządnie, niby tak wogóle chłopak zupełnie do rzeczy, a panie dzieju, obawiam się, że coś tu ma nie w porządku, — mówił, wskazując na czoło. — Wiem, że szanowny profesor, jako ojciec rodziny, pojmuję obawy o stan zdrowia mojego jedynaka i będzie jak ojciec nad nim czuwał, aby wyleczyć u niego chorobliwy lęk przed wszelkiemi zgrzytami, głośniejszemi odgłosami, a głównie przed strachem, który go opanowuje w czasie burzy. Będę niezmiernie wdzięczny i cenę choćby najkosztowniejszej kuracji z wdzięcznością zapłacę, aby Wit stał się takim, jak inni młodzi ludzie.

Profesor Halbion przyrzekł ojcu użyć całej swojej wiedzy lekarskiej, aby Wita uleczyć



Rodzina prof. Halbiona składała się z trzech dorodnych córek: Irki, Marysi i Jaśki, które

niejednokrotnie troską napełniały serce ojcowskie; bo to czas biegł, a panny, pomimo, że brały żywy udział w życiu towarzyskiem, uprawiały sporty, chodziły na bale i wieczorki, nie mogły się poszczycić żadną zdobyczą poważnego kandydata na męża.

Pojawienie się Wita w domu rodziców, wszystkie trzy powitały jako niezwykłą sposobność zawrócenia głowy *dziwnemu chłopcu*, jak im go przedstawił ojciec.

— Czyście wy zauważyły, że on wcale — wcale, trochę wołowaty, lecz przystojny, — ale na czem polega ta jego dziwaczność, napróżno odgadywały. Ojciec nie dał żadnych bliższych wyjaśnień, więc daremnie siliły się zbadać powód epitetu, którym przy zawarciu znajomości obdarzył go papa. Był dobrze ułożony, miał maniery rozleniwionego chrećkosieja, lecz pozatem na oko, zupełnie normalny. Każda z trójki panińskiej układała w swej główce plan, w jaki sposób zbliżyć do siebie młodego człowieka.

On, obecność codzienną trzech wdzięcznych panienek traktował obojętnie, gdyż w myśli porównywał ich eteryczne wdzięki z dobrze rozwiniętymi kształtami Kaś i Małgosiek, tak dobrze mu znanych ze wsi. Te miejskie pannice nie działały na niego.

— Nie, stanowczo żadna z nich! — Ani się umyła nawet do naszej pokojówki Agatki, to dziewczucha jak murowana — z rozczuleniem przypominał sobie, jakie to ona ma prężyste piersi, jakie jędrne ciało, jakie biodra rozłożyste. Nie! stanowczo nie! — po taką to niema się nawet po co schylić. — Jeszcze Irena, jako tako... — Gdyby ją tak lepiej odżywić, to możeby się zaokrągliła — ale tamte — nawet gdyby je wydymać pompką, jak koło od auta, zawsze pozostaną beznadziejnie płaskie.

Tego typu kobiet nie znosił równie jak i uderzenia piorunu.



Irena wprawnem okiem spostrzegła pewne zainteresowanie się nią nowego lokatora. Wykorzystywała wszystkie możliwe chwile, w których mogli być sam na sam, rzucała mu zalotne spojrzenia — przybierała kuszące pozy, a w swobodnej rozmowie, traktując go niby kolegę, doprowadzała dyskusję na najwięcej śliskie tory. Wit jednak nie korzystał z żadnej z pokus, skutkiem wrodzonej lękliwości. Bał się bliższego przekonania, jaka właściwie jest różnica pomiędzy pulchną wiejską dziewczuchą, z którą bez obawy można sobie na

wszystko pozwolić, a tą eteryczną panną z miasta.

— Wituś! — Wituś! — bój się Boga! — pijnuj się, pijnuj chłopcze! — upominał sam siebie, gdy go pokusy nachodziły.



Niebywała burza rozszalała nad rankiem w upalny dzionek czerwcowy. Oślepiające błyskawice przecinały nieboskłon we wszystkich kierunkach, wijąc się po nim, zasnutym czarną osłoną chmur, jak kłębowisko lśniących węzów. Wita, zbudził odgłos donośnego grzmotu, i piorun uderzył w pobliskie drzewo. Jak nieprzytomny zerwał się z łóżka, i niebaczny na swoją nagość, wypadł na korytarz, drżąc z przerażenia i tu, czy to skutkiem przypadku, czy wyrafinowanych obliczeń wpadł w objęcia równie jak on roznegliżowanej panny Irki.

— Panie Witusiu — proszę się uspokoić — no, no, no, dzieciaku nie drzeć, Irka Witka uspokoi — mówiła szelmutka, ciągnąc go z powrotem do pokoju.



W jaki sposób spokoila rozdygotane nerwy pana Wita, lepsza niż ojciec lekarka, tego

wam nie powiem — lecz, że lekarstwo było skutecznem, zapewniam, bo w czasie obiadu Wit oficjalnie prosił profesora Halbiona o rękę rozanielonej panny Ireny.

Bo Wit... nie upilnował się...



PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA.



Są dziury, dziurki i dziureczki. Są dziury potrzebne i szkodliwe, są dziurki miłutkie i obrzydliwe, są dziureczki w których... eh lepiej nie mówić.

Taka niewinna niby dziurka... od klucza była powodem mojego dramatu.

Odnajmowałem pokój kawalerski od pani Radecznickiej, młodej wdówki po inżynierze, która mieszkała z swoją siostrą, panną Zosią, studującą medycynę na tutejszym uniwerku.

Pokój mój, bardzo miłutki, z wejściem z przedpokoju wspólnego, sąsiadował dziwnym zbiegiem okoliczności z jednej strony z pokoikiem panny Zosi, a z drugiej z pokojem sypialnym gospodyni domu. Było to krępujące, ale ze względu na bardzo przystępną cenę, brak krzykliwej dzieciarni i wszelakich zastrzeżeń umoralniających, które każdy kawaler wysłuchać musi przy najmie mie-

szkania, skłoniły mnie, że stałem się podnajemcą pani Radeczniczej.

Stosunki sąsiedzkie ułożyły się bardzo przyjemnie i byłoby wszystko szło sielsko i anielsko, gdyby nie moja ciekawość dziennikarska, która, djabli nadali, kazała mi jednego wieczoru zajrzeć do dziurek... od klucza — i z tej i z tamtej strony.

Panna Zosia, był to typek o oryginalnej aparcji zdecydowanie męskiej kobiety. — Ubierała się w kostjumy o męskim kroju, a energiczne rysy twarzy efektownie odbijały od zupełnie gładkiej, chłopięcej fryzury. Spojrzenie miała śmiałe, ruchy ostre, choć wdzięczne, namiętnie uprawiała wszelakie sporty, więc figurę miała zgrabną, muskularną, dorastającego chłopaka, ale pozbawioną zalet wężowych kołysań talji, właściwie kobiecych. Nie była ładną, lecz miała ten szelmowski pieprzyk, którym przykuwała oczy.

Pani Radecznicza była zupełnem przeciwstawieniem siostry. Pulchniutka, złota blondynka robiła wrażenie rozleniwiałej odaliski, wyrwanej z zacisznego haremu, która wiecznie tęskni do pieśzcot i miłości. Pomimo przeszło trzydziestki, zawsze zwiewny rumieniec malował jej twarzyczkę rozkapryszonej la-

leczki, a oczy lazurowe śmiały się bezbronną słodyczą dumnego aniołka.

Takie były moje sąsiadki, które zacząłem obserwować z coraz większem zainteresowaniem, jako studjum żywe.

Dziurka od klucza była tem okiem niewidki, którem mogłem podpatrywać tajemnice toaletowe i najwięcej intymne szczegóły sypialni. Było to... fe!, ale nie dziwcie się — miałem lat 27 — i byłem dziennikarzem, a więc z natury rzeczy, ciekawskim.

Zosia — ta Zosia, półchłopak, tylko przed mojem okiem okazywała przepyszną i bujnie rozkwitłą dziewczącą nagość, która wyłaniała się z pół męskich sukien. Doskonale wyrobione muskuły rąk i nóg przeżyła, wyskakując rano z łóżka i w stroju rajskim odbywała codzienną swoją gimnastykę szwedzką. Silnie zaznaczone mięśnie ramion i piersi wyniosłej, grały mi w oczach szeroko rozwartych jakąś dziką sarabandę zmysłowego szalu. Zagryzałem do krwi wargi, aby nie krzyczeć z zachwyty, a paznokciami drżących z szaleństwa rąk darłem w strzępy bieliznę.

Zagłębiałem przepaściste palące spojrzenie w te cudy, odsłaniane bezwiednie przedemną tak długo, aż w narkozie upojenia padałem na dywan i nagromadzone w mózgu widzenia,

wywoływały dziwne zjawy i niebywałą rozkosz...

Miotalem się jak szalony, roiłem najśmielsze zamachy, ale gdy spotkaliśmy się w przedpokoju sam na sam, nie byłem zdolny nawet paru słów logicznie do niej przemówić.

Byłem zakochany jak żak i przechodziłem męki Tantala. Łajałem się za moją niezaradność i brak inicjatywy, lecz gdy spotkałem jej śmiałe spojrzenie, śmiałość moja pierzchała, bo czułem się winnym, ja, którym ją codziennie okradał z osłon nagości.

Chciałem oszołomić się pracą w redakcji, pragnąłem dokonać rzeczy nadzwyczajnych, aby syt sławy sięgnąć odważnie po tę, która stała się dla mnie światem całym.

Jakże inną okazywała się Zosia w towarzystwie. Umyślnie robiła pozy zaniedbanego chłopaka. Jak potrafiła wytwarzać sobie opinię sufrażetki — jak umiała z drwiącym przekąsem mówić o stosunku kobiet do mężczyzn, jak bagatelizowała uczucie.

— Eh! moi państwo, w czasach dzisiejszych kochać — to archaizm, — romantyzm — to już rzecz przebrzmiała. — Równe prawa dla wszystkich! — Gdy się zwierzę we mnie obudzi... bez fałszywego wstydu ja sobie dobiorę odpowiedni typ samca... ale bawić się

w idyllę — to już po mnie się nie pokaże! — Wszyscy jej nie znali i ona sama okłamywała siebie. Ja tylko widywałem ją bez osłon... widziałem wtedy w melodji rytmów jej gimnastyki codziennej tyle subtelnych akordów tęsknoty za miłością, tyle zaokrąglonych rzutów jej kształtnych ramion, które wyciągały się w błagalnym wysiłku ku wizji snów dziewiczych.

Postanowiłem na tle moich niesamowitych przeżyć napisać powieść. — Myśl, koncepcja zanim z pierwotnej bezkształtnej materji twórczego impulsu się wyłoni, wytwarzała już w mojej duszy rozkosz, jaką odczuwa się przy poczęciu nowego życia... lecz zarazem i ból niepokoju — podobny do obaw matczy, gdy na świat wydaje swego pierwotnego. — Między tematem a realizacją stawały mi dziwne sprzeczności w typie tej dziewczyny, bo ona to miała być bohaterką mojej powieści.

Wizje pochwythane przez dziurkę od klucza i reminiscencje moich myśli nizałem na kanwę wyobraźni, rozwijałem wśród męki twórczej i tak rósł rozdział za rozdziałem.

Z dziwnem onieśmieleniem wspominałem jej, że ukończoną już powieść pragnę jej poświęcić.

— No — no! — zobaczymy to bajanie. — Zapewne pełno w niem idealizmu i sentymentalnych wzdychań, bo nieraz słyszę przez ścianę, jak pan jęczy. Z pana też okaz kliniczny — chłop jak dąb, a taki ślamazara! — Siedzi to to po nocach, rujnuje zdrowie i wzdycha, że aż wstyd!

— Dawaj pan tę litanijkę westchnień, uporałam się z rygorozum, to przeczytam.

Wierście mi, przed żadnym egzaminem nie odczuwałem tyle strachu, jak przed jej wyrokiem.

Trzy, długie jak wieczność, dni upłynęły. — Czwartego dnia, przez obserwacyjną dziurkę widziałem, jak swoim zwyczajem, olśniewająca swą nagością wyskoczyła z łóżka, biegła wzburzona po pokoju, nie wykonując ćwiczeń i nawdziawszy ażurową piżamę, zapukała stanowczem uderzeniem w mą ścianę.

— Niechno pan autor zaraz się tu stawi! — usłyszałem głos rozkazujący.

Na gwałt dokończyłem moją toaletę i na palcach, jak włamywacz, wśliznąłem się do jej pokoju.

Gdy wszedłem, zarumieniła się, i patrząc mi przenikliwie w oczy, wskazała miejsce obok siebie na otomanie.

— Ja jestem szczerą, nie hipokrytką. —

W tej chwili znalazłam w sobie zwierzę — a w tobie samca... — Dobór dokonany! — I oddała się bez oporu, całą wdzięcznością tajonej kobiecości...



— Żałujesz... tego, co się stało — pytałem, okrywając jej piersi palcami pocałunkami...

— Czego!? To być musiało... Lecz teraz idź precz! — Więcej, to się już nie powtórzy nigdy! Rozumiesz! — Idź precz!



Zrozumiałem!

Zaspokoilem kaprys wyobraźni, rozbudzonej czytaniem mojej szalonej powieści i jak murzyn, który spełnił swoje, musiałem odejść...

Nie pomogły żadne zaklęcia, żadne zabiegi, prośby, Zosia była niewzruszoną i — nawet szczerze zatkała dziurkę — od klucza.

I to jest moim dramatem!

Chyba teraz jedno tylko mnie pozostaje, skorzystać z sąsiedniej dziurki... od pokoju, pani Radeczniczej...



DZIECKO W KRATKE.

Nazywał się Sam i grywał na banjo. Kiedy, gdzie i jak się urodził czarny Sam, nie wiedział i nawet nie chciał się dowiadywać — wystarczyła mu świadomość, że jest i gra.

Było to gdzieś w Nowym Jorku czy jakiejś innej Filadelfji. Współplemieńcy nauczyli go grać na banjo, instrumencie, na którym im fałszywsze tony wydobywał, tem większy efekt wywoływał na rozwydrzałych gościach dancingowych.

Kiedy, i jak się stało, że znalazł się nad modrą Wisłą, tego nawet w rodzinnem narzeczu Sam objaśnić by nie mógł. Był i grał... A było mu zupełnie obojętne, gdzie i dla kogo gra. Jedyną kwestją, która go obchodziła, było bezwarunkowe wypłacanie mu gaży w dolarach. Dolar, to taka magiczna moneta, której właściciel jeżeli ich ma przynajmniej setkę, może się ubrać w elegancki smoking, czarne lakiery, jedwabne skarpetki i t. d. Sam był swego rodzaju elegantem i dobrze zbudowanym chłopcem o masywnych ramionach, białych jak kość słoniowa zębach, o oku, rzu-

cającem ogniste błyski z pod zmrużonych
zwyczajem murzyńskim powiek.

Sam był ulubieńcem kobiet, które zbierały
się przy dźwiękach jazzu w nowo otwartej
restauracji „Miraż“.

Oprócz, że grał na swoim instrumencie,
tańczył on jak baletnik charlestona, tango
i inne łamańce murzyńskiego pochodzenia.
A jak umiał w tańcu do siebie przyciskać!
Jak zręcznie w passe manewrował kolanem...
podniecając szal tancerki! Sam zawsze był
zimnym, lecz zręcznie grał namiętność. Wszys-
kie fibry zdawały się w nim drgać, chrapy
nozdrzy wzdymał namiętnie, drżał, w wytrze-
szczonych zębach zdawał się dławić wojenny
okrzyk z pod skwarne nieba Afryki... gdy
zwyciężał...



Stałą bywalczynią dancingów „Mirażu“
była pani Lotta Pomeranz, niedawno nobi-
litowana na Pomerańską. Bajecznie zbudo-
wana, prawdziwa, nie farbowana blondynka,
o oczach, których lazur mógł śmiało rywali-
zować z błękitną grotą pod Neapolem, za-
wyczaj z gustem ubrana, była naprawdę
niepowszedniem zjawiskiem w Warszawie. Jej
pan i mąż, bajecznie bogaty „nouvoriche“ od-
nalazł ją gdzieś w zapadłej mieścinie Podola,

otaksował jej walory... i kupił, wiedząc, że oprócz własnego zadowolenia zrobi na Locie w przyszłości kokosowy interes.

Odpowiednio do swoich zamiarów, tresował ją od dnia ślubu.

Szybko przebiegła pojętna uczenica względnie dość trudne etapy swojej edukacji. Nabyła encyklopedycznej wiedzy, paplała po francusku, i brząkała jako tako na fortepianie i co, najważniejsza, była bardzo pojętną uczenicą w nowoczesnych modnych tańcach.



Pan Pomerkański spoglądał na swoje dzieło okiem zadowolonym — bo Lotta już niejednokrotnie przez swoje małe koncesje... ułatwiała mu zdobycie bardzo poważnych dostaw wojskowych i protekcje w kołach decydujących. Triumfował!

Jedna tylko troska zasępiała mu czoło. — Pomimo trzech lat pożycia małżeńskiego, nie zjawiał się pożądaný potomek.

Już dwa razy wywoził żonę do Franzensbadu i Krynicy. Nic to nie pomogło! — Nie zjawiał się upragniony.

Lotta nie podzielała zmartwień męża. Macierzyństwo psuje figurę, a zresztą na to jest zawsze czas.

Lubiała za to szalenie tańczyć! Od chwili, kiedy murzyński jazz-band zagościł do „Mirażu“, była tam codziennym gościem.

Jedna tura, przetańczona z Samem, dała jej odczuć fizyczną siłę prawdziwego mężczyzny.

Oszalała!... Sam stał się panem jej myśli, niewolił ją siłą swych mięśni...

No... i co powiecie państwo. -- Pan Pomerkański zaczął swoim znajomym opowiadać, że... będzie ojcem!

Normalny czas oczekiwania wydawał mu się wiekiem... Był pewnym, że będzie syn...

No i rzeczywiście — przyszedł ten oczekiwany.

Z nieznanem mu dotychczas wzruszeniem oczekiwał w salonie na wiadomość od lekarza, który asystował przy rozwiązaniu.



Drzwi otwierają się... „Madame“ wynosi zawiniątko w powijakach...

Pomerański chwycił w swoje ręce kwilącą istotkę, podszedł pod żyrandol elektryczny, aby nasycić wzrok swoim pierworodnym. — Nie był krótkowidzem...

Włosy stanęły mu dębem na głowie!...

Wytrzeszczył oczy i krzyknął przeraźliwym głosem: — Oj! Gwałt! dlaczego to dziecko jest w kratkę!!!

O BOCIANIE.



Bocian w ornitologii należy do gatunku brodźców — długonogich i jest ptakiem przelotnym. Gnieździ się na miejscach wyniosłych, lubi ciepło, więc na zimę wyprowadza się do Afryki, a że u dawnych Egipcjan był ptakiem świętym, my — jak słusznie mówi o nas poeta, będący „papugą narodów“, przywiązaliśmy do bociana wierzenie, że przynosi dzieci. — Lecz wiarę tę żywią tylko dzieci lub te dorastające panienki, które nie przekonały się jeszcze — jak się właściwie ta sprawa odbywa. — O jednej z takich najwspanialszych wam opowiem.

Była sobie jedna dojrzała już panienka, lecz była wychowana przez starą ciocię tak cnotliwie i bogobojnie, że wierzyła święcie w misję — bociana. Ciotka, właścicielka ładnej wioski na Podkarpaciu, bezdzietna wdowa, nie dopuszczała do dziewczęcia postronnych wpływów. — Sama ją kształciła, bacząc pilnie, aby żadne bezeczeństwo nie doszło do

uszu dziewczeczki, która rosła jak to kwiecie polne swobodna i beztroska. — Ale lata biegly. Z dziewczeczki zrobiła się dziewczica, nad podziw rozrosła, a tak piękna, że młodzież okoliczna, która ją widywała tylko w kościele z ciotką, uznała ją zgodnie za najpiękniejszą pannę w okolicy. Używali różnych fortelów, aby zbliżyć się do pięknej Basi, w której podkochiwali się wszyscy na zabój, cóż kiedy zdziwaczała ciotka z nikim nie utrzymywała stosunków sąsiedzkich, nie bywała nigdzie, a siostrzenicy w swoim Prochowie strzegła jak żrenicy i nie pozwoliła jej nawet mieć żadnej przyjaciółki, tak, że Basia nie ulegając żadnym postronnym wpływom, cały świat widziała tylko w starym dworku i dużym ogrodzie. Młodzi sąsiedzi załgiwali się pod pozorem różnych interesów do Prochowa, ale cerber ciotka czuwał i nigdy żadnemu nie udało się zobaczyć ją nawet z nienacka.

Aż zdarzyło się, że ciotka już starsza niewiasta zachorowała i musiano posłać do miasteczka po lekarza. — Lekarz, znany i bardzo lubiany w okolicy jowialny staruszek, znał historję trzymanej jak ptak w klatce i zamkniętej przed towarzystwem Basi. Oburzał się zawsze na taki tyranizm, bo wyobrażał sobie, że 19-letnia panna musi prze-

cież tęsknić do praw młodości, do uciech, zabawy i towarzystwa młodych ludzi. Ciągłe obcowanie ze starą, zdziwaczalą ciotką, dla takiego młodego dziewczęcia — to barbarzyństwo, a tu najwyższy czas, żeby jej znaleźć męża. Tak rozmyślał lekarz, jadąc do Prochowa.



— Nie dobrze — łaskawa dobrodziejko — skleroza, to w naszym wieku dzwonek alarmowy Kostusi, a tu i serduszko w nieporządku — mówił doktor, po dokładnem zbadaniu chorej. — Musimy dać spokój gospodarstwu, kluczyki proszę oddać pannie Basi, dla której już trzebaby upatrzyć męża.

— Co też szanowny konsyljarz wygaduje? — zaperzyła się staruszka — mąż dla takiej smarkuli?

— No, no, no, czy dobrodziejka chciałaby jej dać męża, jak już więdnąć zacznie? Ja tam widzę, że ta, jak dobrodziejka twierdzi „smarkula“, to już kawał kobiety, którą sama natura przynaglać zacznie, aby poczuła Bożą wolę... Zresztą, jako dobry przyjaciel dobrodziejki zauważyć muszę, że lepiej będzie póki czas rozglądać się za odpowiednim mężem dla p. Basi, która, nie chcę straszyć, ale mo-

głaby nagle, w swoim niedoświadczeniu życiowym, znaleźć się sama bez należytej opieki.

— Więc już ze mną tak źle? — pytała z przerażeniem stara ciotka..

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — odpowiedział wymijająco lekarz — żyj sobie, do brodziejko, choćby jeszcze i kopę lat, ale ja ostrzegam, póki czas.



— Uf! trudna była przeprawa ze starą dziewczką, alem jej napędził strachu i ulżę niedoli dziewczątka, — myślał pocziwy eskulap, wracając do miasteczka. — Zostałem na starość swatem — dumał — tak to zawsze bywa, gdy się już samemu nie może... to się podsuwa słodkie winne grona innym... Starucha zgodziła się na Skrabczyńskiego, przypuszczam, że i Baśce się spodoba, bo chłop na schwał, porządny i dobry gospodarz. — Dobrą nowinę zawiozę mu jutro, bo spostrzegłem, że dobrze sobie tym skrzatem naiwnym zaproszył oko. — Tylko pewnie, nie będzie mu na rękę warunek ciotki, że musi po ślubie zamieszkać w Prochowie. — Taka cioteczna teściowa, to gotowa kością w gardle stanąć, gorzej, niż rodzona. A niech sobie tam już potem radzi, jego rzecz, ale za to będzie miał

żonkę, że palce lizać — myślał doktorek — mając ciągle przed oczyma wdzięczną postać Basi.



— Moje dziecko — mówiła — głaszcząc pieśszcotliwie opartą o jej kolana główkę siostrzenicy pani Rogulska — chora jestem bardzo, więc muszę pomyśleć o twym losie. Wprawdzie jesteś jeszcze smarkata, ale ja nie mam już dużo czasu przed sobą, więc muszę ci dać opiekuna... Czyś zastanawiała się już kiedy nad tem, kochanie, że będziesz miała męża?...

— Ależ, ciotuniu! męża! Fe!... i to ciotunia mówi?... Ciotunia, która tyle mi naopowiadała, jacy to niedobrzy są mężczyźni. — Zawsze mnie ciotuchna ostrzegała, jak jechałyśmy do kościoła: „Basiu nie spoglądaj mi nigdy na chłopaków, bo to zdradliwe ziółka, lepsze sto wściekłych psów, aniżeli jeden taki gagatek“... — Cóż ja bym robiła z mężem, ciotuniu?... Ty chyba żartujesz? — mówiła zarumieniona, a myśl, raz rozerwawszy twardey zakaz ciotki, biegła już ku temu nieznanemu, rojąc obrazy intuicją kobiecą przeczuwanych pieśszcot i tego czegoś... co jak wielki znak zapytania kładł się koszmarem nocnych rozmyślań na jej pierś dziewczącą...



Pan Jerzy Skrabczyński, zaraz po uwiadomieniu go przez doktora, że może starać się o rękę Basi, z ogromnej radości chwycił go w ramiona i kręcąc jak frygą, krzyczał: „Rany Boskie! Baśka moja“, i nie wypuszczając stłamszonego eskulapa z objęć, całował po niezliczone razy jego nieogoloną twarz i łysinę.

— Dajże pokój, warjacie! — bo mnie uduśsisz w swoim byczym uścisku i jeżeli tak delikatnie będziesz tulił swoją ukochaną, to pokruszysz jej kosteczki i będzie figa suszona z całej twojej Baśki.



Został przyjęty tak przez ciotkę jak i pannę i odbyło się weselisko. — Przed weselem ciotka udzieliła pannie młodej rad i wskazówek, jakimi zazwyczaj w takiej okazji wypełnia główkę oblubienicy matka.

Lecz trzpiotowata Baśka, rozmarzona, roztrzęsiona, z główką nabitą nieznanymi jej dotąd uczuciami, słuchała, jak przez sen, długiego wykładu ciotki. Pamiętała tylko sakramentalne słowa: „że musi mężowi być posłuszną, jakieś aluzje do nocy poślubnej, jakieś opowiadanie o bocianie i nadziei... i jakieś dziwne, niesłyszane nigdy nazwania, a tego wszystkiego nic a nic nie rozumiała. — Ponad wszyst-

ko rozsadzała jej pierś dziewczą upojna słodcz namiętnych pocałunków Jerzego; jak pod urokiem szła do stopni ołtarza, wpoł przytomna prezydowała z nim na uczcie weselnej. — Potem tańczyła. — Wszyscy byli dla niej tacy przemili, całowali jej rączki, mówili takie ładne życzenia, a ona rumieniła się raz po raz, jak wisienka, czekając, rychło wszyscy sobie pójda, a ona zostanie sam na sam z Jurkiem.

Wtenczas on będzie ją tak mocno całował i... przyleci bocian, o którym tyle ciotuchna coś jej naopowiadała.



Gdy nazajutrz obudziła się była jak pijana. Prędziutko ogarnęła się i narzuciwszy szlafroczek pomknęła do pokoju ciotki.

Przypadła do jej kolan i mówiła z płaczem:

— Oj, ciotuchno! ja myślałam, że bocian, to taki spokojny ptak, a tymczasem... Ciociu! to straszny rozpustnik... i w dodatku dra pieżny!... Żebyś ty widziała ciotuchno, jak on mnie strasznie przeraził...

Nic nie pomogło, że płakałam i chciałam się wyrwać... był nieubłagany i okrutny...

Ale wiesz, ciotuchno... mimo wszystko... miły to ptak, a ten jego dzióbek... to bardzo, bardzo przyjemny...

IDEAŁ.

Ideał — abstrakcja — coś, do którego dąży każda dusza ludzka odkąd świat istnieje, jawi się tylko w słodkich snach i marzeniach poety.

Ubieramy go w rojeniach w najwspanialsze formy, w ideale ucieleśniamy rajskie słodycze — my, wypędki z raju. — W pościgu za ideałem biegniemy życie całe, łamiemy karki i w codziennej szarzyźnie robimy tyle głupstw. — A ideał — to himera, to myt, to... jest naprzykład... idealna żona!

A idealna żona powinna:

- 1) Bardzo, bardzo kochać.
- 2) Być wierną i nie przyprawiać mężowi rogów.
- 3) Bronić swej cnoty, jak lwica, przed zachłannością przyjaciół domu.
- 4) Nie myśleć o fidrygałkach mody, lecz o wygodach męża, o smacznej kuchni i czynić z domu miłą oazę spokojnego spoczynku, gdy wraca po pracy.
- 5) Nie być łakomą na słodycze i drogie kamyczki, o ile męża nie stać na nie.
- 6) Mało mówić, a mądrze i słodko.

7) Umieć żyć z tego, co mąż ma.

8) Żyć z mężem i całym wysiłkiem duszy zżyć się z nim. Nie obdarzać go co roku potomkiem.

9) Usuwać z jego drogi wszystko, co drażni lub rani.

10) Być nawet do późnej starości zawsze tylko pożądaną kochanką.

Oto ideał!

Czyście spotkali już kiedy taki ideał?

Nie! — Bo takie idealne żonki są, ale...

NA KSIEŻYCU!

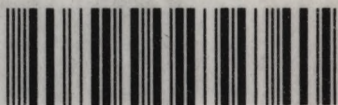


T R E Ś Ć:

	str.
Buduar	3
Który	7
Powrót do formy	12
Wywiad optyczny	16
Jak już niema tego	22
Piorun swatem	25
Przez dziurkę od klucza	31
Dziecko w kratkę	38
O bocianie	42
Ideał	49

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 321605



000-321605-00-0